

Ósmego października odbył się w NFM recital fortepianowy Eugena Indjica, współorganizowany przez zasłużone dla popularyzacji muzyki pianistycznej Towarzystwo imienia Ferencza Liszta. TiFL ma ogromny talent wynajdowania ogromnych talentów, czasem pod prąd obecnie panujących trendów. Tak było i tym razem.

Przed koncertem przeglądałem najczęściej dostępne obecnie nagrania Eugena Indjica. Wyszukiwarka wskazywała na szwajcarską bodajże firmę Claves, znaną również z wędrowania pod prąd i na własne wydawnictwo pianisty publikujące obecnie głównie muzykę Chopina w jego wykonaniu. Posiadanie własnego wydawnictwa to droga, którą idzie obecnie wiele zespołów i muzyków, wystarczy wspomnieć Johna Eliota Gardinera, Jordi Savalla czy London Symphony Orchester. W każdym bądź razie nie wyszukiwały mi się na przykład płyty Deutsche Grammophon, będącej obecnie najstarszą działającą nieprzerwanie firmą fonograficzną, która zawsze walczyła o to, by mieć w swym katalogu kompletny pejzaż pianistyki. Do dziś DG wydaje natychmiast zwycięzców cenionych festiwali pianistycznych. Tymczasem Eugen Indjic wyświetlił mi się w niszowych wytwórniach, do tego jeden z prominentnych krytyków muzycznych zmarszczył posępnie czoło słysząc, że wrocławscy melomani szykują się na recital Indjica. Ja sam, nie śledząc nagrań akurat tego pianisty (co zresztą byłoby dość trudne), nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Eugen Indjic był dzieckiem kosmopolitycznych rodziców. Jego matka była Rosjanką, zaś ojciec Serbem. Gdy miał cztery lata wyemigrował do USA, gdzie rozpoczął naukę gry na fortepianie. Studiował pianistykę w sławnej nowojorskiej Juilliard School (1965–1968), która obdarza swoich wychowanków dokładnością,

perfekcją i czasem akademizmem. Indjic zgłębiał też arkana muzycznej teorii i kompozycję na Harvard University (1965–1969). Najważniejsze jednak dla edukacji Indjica były wieloletnie kursy mistrzowskie pod kierunkiem Artura Rubinsteina i Nadii Boulanger. Artur Rubinstein zdaniem większości krytyków należał do grona największych pianistów wszechczasów, zaś Nadia Boulanger stanowiła kamień milowy kompozytorów. Przez jej wszechnicę przewinęła się chyba trzecia część XX wieku jeśli chodzi o tworzenie muzyki klasycznej.

Na VIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina (1970) zyskał Indjic IV nagrodę. Wtedy zwycięzcą został lubiany do dziś przez publiczność warszawską i nie tylko inny Amerykanin o niezbyt anglosaskim nazwisku – Garrick Ohlsson. Drugie i trzecie miejsce należało odpowiednio do Mitsuko Uchidy z Japonii i Piotra Palecznego z Polski. Za Indjicem uplasowali się tak znani obecnie artyści jak Janusz Olejniczak i Emanuel Ax. Eugen Indjic brał udział w wielu innych konkursach i największym jego konkursowym sukcesem była druga nagroda na organizowanym w Tel Avivie Międzynarodowym Mistrzowskim Konkursie Pianistycznym im. Artura Rubinsteina w roku 1974. Co ciekawe, wtedy Emanuel Ax (też zresztą Amerykanin) uplasował się przed nim na pierwszym miejscu. Dziś, znając wiele nagrań Emanuela Axa i będąc świeżo po koncercie Eugena Indjica dałbym pierwsze miejsce Indjicowi. Ale oczywiście dla tych wielkich artystów minęły już dawno czasy uczestniczenia w konkursach jako zawodnicy i dawno zaczęła się epoka zasiadania w składzie jury konkursów. Eugen Indjic był między innymi jurorem XIV – go Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, który odbył się w roku 2000 i dał zwycięstwo Chińczykowi Li Yundi.



Biografowie Indjica zwracają uwagę na fakt, iż pianista zaczął koncertować publicznie w bardzo młodym wieku. Już mając 13 lat

wystąpił jako solista z Washington National Symphony Orchestra wykonując Koncert fortepianowy Es-dur F. Liszta, a rok później z tą samą orkiestrą II Koncert fortepianowy B-dur J. Brahmsa. Jak zauważył zapowiadający występ Juliusz Adamowski zagrać koncert Brahmsa w wieku 13 lat, to jak zrobić doktorat z fizyki w tymże wczesno nastoletnim stanie.

Recital wrocławski artysty zaczął się od Schumanna i trzech ogniw jego cyklu Fantasiestücke op. 12 – Wieczorem (Des Abends), Strzelisty (Aufschwung) oraz Dlaczego? (Warum?). Schumannowskie fantazje zostały oparte na nowelach E.T.A. Hoffmanna, niemieckiego romantyka, którego proza skrzyła się barwami i fantastycznymi pomysłami, niesłusznie tak słabo znanego w Polsce (zwłaszcza, że był z naszym rozebrany podówczas krajem całkiem mocno związany). Ja w dzieciństwie przeżywałem miesiące całkowitego zauroczenia Hoffmannem i stąd może moje potępienie wobec ogólnie pojętego czytelnictwa. Tak jak istnieje ruch muzyki dawnej, dzięki czemu słuchamy sobie Monteverdiego czy Palestriny, tak inteligencja nie czuje ani grama potrzeby zapoznawania się na serio z dawną literaturą, snobując się na nowoczesne style literackie, gdzie nawet Dostojewski wydaje się być osadzony w pomrokach dziejów, zaś Balzac to gość zupełnie przedpotopowy (stąd może całkowita niewiedza o tym, że już Balzac pisał namiętnie o postprawdzie w mediach).



Schumann był nie tylko bardzo wrażliwy. Jego życie ocieniała rozwijająca się choroba psychiczna. Już w Fantasiestücke mamy gorący spór między Florestanem i Euzebiuszem. Te zrodzone w wyobraźni byty były echem lektur Hofmannowskich, ale też alter ego kompozytora. Uosabiali oni jego własną dwoistą naturę – namiętną i wybuchową oraz liryczną i refleksyjną zarazem. Z biegiem czasu ten konflikt w Schumannie się pogłębiał. Eugen Indjic zagrał pierwszą część cyklu, tę liryczną i refleksyjną, w tak niesamowicie eteryczny i poetycki sposób, że zupełnie zamarłem. Mam w domu wiele nagrań Schumannowskich, ale i tak muszę przyznać, że była to wielka interpretacja. Stąd może mój przydługi wstęp biograficzny, gdyż po raz kolejny TiFL wraz NFM zaskoczyli mnie pięknem, którego się nie spodziewałem. Cóż za lekka i świetlista prawa ręka u Indjica! Dawno nie słyszałem tych Schumannowskich światełek na granicy opowieści w tak wspaniałej odsłonie. Ten Schumann był wstrząsający, nie wiem, czemu obecnie wielkie firmy fonograficzne nie eksplorują Indjica, czemu nie ma kompletu Schumannowskiego w katalogach Sony czy Deutsche Grammophone.

Po Schumannie pianista zagrał Sonatę fortepianową f-moll nr 23 op. 57 Beethovena znaną jako „Appassionata”. Jak miło było posłuchać sonaty fortepianowej Beethovena, co obecnie wcale nie jest takie proste, znacznie łatwiej posłuchać na żywo symfonii czy nawet koncertu. Interpretacja Eugena Indjica wydała mi się stosunkowo wolna i mocno przepełniona przestrzenią. Nie było w niej tej zapierającej dech w piersiach pasji, nie mogącego zatrzymać się pędu. Ale były za to piękne detale, światło padające na wspaniałą architekturę tej muzycznej struktury. A Beethoven był największym muzycznym architektem!

Po przerwie Eugen Indjic zagrał Chopina – Impromptu Ges-dur op. 51, Balladę g-moll op. 23, Mazurek b-moll op. 24 nr 4, Mazurek cis-moll op. 50 nr 3, Mazurek fis-moll op. 59 nr 3. Przestałem się dziwić, dlaczego w swoim własnym wydawnictwie artysta skupił się głównie na Chopinie, a w tym przede wszystkim na mazurkach. , Mazurek cis-moll op. 50 nr 3 był po prostu wstrząsający. Nawiązujące do ludowej melodii frazy przegłądały się w sobie, odbijały się jak jakieś gwiazdy. Muzyka stała się tak niezwykła, że można było całkowicie zapomnieć o sobie i pogrążyć się w jakimś zupełnie nie teatralnym a poetyckim katharsis. Cały ten Chopin był świetny, ale ten Mazurek na długo zostanie w mojej pamięci.

Na koniec był Liszt, co chyba jest zwyczajem w koncertach współorganizowanych przez Towarzystwo im. Ferencza Liszta. Usłyszeliśmy Etiudę Es-dur nr 2, Etiudę gis-moll nr 3 „La Campanella” z Wielkich Etiud według Paganiniego. Jestem wielkim miłośnikiem Liszta, niesłusznie granego obecnie rzadziej niż Chopin czy Schumann, dlatego zawsze się boję, gdy obok najbardziej metafizycznych utworów romantycznych

konkurentów wielkiego Węgra (z serca, nie z języka) pojawiają się wirtuozowskie miniatury Liszta, nie zaś jego głęboko mistyczne i filozoficzne pianistyczne rozważania z późniejszego okresu twórczości pianistycznej. Eugen Indjic uspokoił mnie jednak. Odnalazł sporo głębi w tych opartych na motywach Paganiniego etiudach, a jednocześnie uzasadnił opinie amerykańskich krytyków porównujących go z legendarnym Horowitzem. Takiej wirtuozerii przy jednoczesnym zachowaniu elegancji formy dawno nie słyszałem. La Campanella wyrwała publiczność do stojącej owacji i całkowicie zasłużyła. Mówi się tyle o Sokołowie na przykład, a idę o zakład, że tak Liszta nie zagra. Inna rzecz, że chyba Liszta nie lubi, ale moim zdaniem trzeba lubić również Liszta, aby rozumieć muzyczny romantyzm, czyli Chopina, Schumanna czy też Wagnera i Brahmsa.

Na bis artysta zagrał kolejny mazurek Chopina i tak opuściliśmy salę w niedzielny wieczór, urzeczeni bez reszty. Później jadąc w nocy nad rzeką i czując rozrzucone przez koła roweru mokre liście, zastanawiałem się nad nowelami Hofmanna, . Czy spodobałyby mi się również teraz, w dorosłym wieku? Czy można je w ogóle gdzieś nabyć? Czy istnieje jeszcze moja książka, którą czytałem w dzieciństwie? W nocy nie widziałem Odry po mojej prawej stronie, ale pamiętałem, że inna rzeka, Ren, przyczyniła się do kresu życia Schumanna. 27 lutego 1854 roku, po miesiącu ciężkiego załamania nerwowego, po ostrym popadaniu w depresję, bezsenność i omamy słuchowe, Schumann próbował popełnić samobójstwo skacząc z mostu do Renu. Później dobrowolnie zgłosił się do kliniki dla nerwowo chorych, gdzie po dwóch latach zmarł. Więc może to dobrze, że współczesny literacki snobizm nie uznaje ruchu „literatury dawnej”? Cieszę się jednak, że muzyka nie zapomina o przeszłości, bo muzyki Chopina i Schumanna też by dla nas nie było, gdyby rolę melomanów przejęli prominentni i trendotwórczy Czytelnicy.